NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do Głosu Wąbrzeskiego

Nr. 41 | Wąbrzeźno, sobota 10 października 1925 | Rok 2.

Ewangelja

św. Mateusza rozdział 22, wiersz 1—14.

W on czas mówił Jezus przedniejszym kapłanom i faryzeuszom w powieściach, mówiąc: Podobne jest królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który sprawił gody małżeńskie synowi swojemu. I posłał sługi swoje wzywać zaproszonych na gody, a nie chcieli przyjść. Potem posłał inne sługi, mówiąc: Powiedzcie zaproszonym: oto obiad mój nagotowany, woły moje i karmne rzeczy są pobite i wszystko gotowe. Pójdźcie na gody. A oni zaniedbawszy, odeszli jeden do wsi swojej, a drugi do kupiectwa swego; drudzy pojmawszy sługi jego, zelżyli i pobili. A usłyszawszy król rozgniewał się i posławszy wojska swe wytracił one morderce i miasto spalił. Tedy rzekł służebnikom swoim: Gody są gotowe, lecz zaproszeni nie byli godnymi. A przeto idźcie na rozstajne drogi, a którychkolwiek najdziecie wzywajcie na wesele. I wyszedłszy słudzy jego na drogi, zebrali wszystkie, które znaleźli, złe i dobre i napełnione są gody siedzącymi. A wszedłszy król, aby oglądał siedzące, obaczył tam człowieka nie odzianego szatą godową. I rzekł mu: Przyjacielu, jakoś tu wszedł, nie mając szaty godowej. A on zamilknął. Tedy rzekł sługom: Związawszy ręce i nogi jego, wrzućcie go w ciemności zewnętrzne! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów. Albowiem wiele jest wezwanych, lecz mało wybranych.

################################

Nauka z ewangelji.

Wyjaśnienie. Królem w niniejszem podobieństwie jest Ojciec niebieski, który Syna Swego jednorodzonego zaślubił z kościołem jakoby z oblubienicą, przyczem sprawił wspaniałe gody weselne przez to, że podał nam naukę ewangeliczną, święte sakramenta i niebiańskie radości. Na to wesele kazał nasamprzód zaprosić żydów przez swoje sługi, przez proroków i uczniów Chrystusa. Żydzi atoli wzgardzili okazanym im zaszczytem i łaską niebieskiego Króla, sponiewierali Jego sługi i z tego powodu wymierzył im Król sprawiedliwą karę i przez wojska Swe wyniszczył ich do szczętu z miastem ich Jerozolimą. W miejsce żydów zawezwał na gody pogan i wszystkie owe narody, które znajdowały się na szerokiej drodze do piekła i które przy godach zajmą miejsce nieszczęśliwych żydów kiedyś w niebie. W ten sposób sprawdza się to podobieństwo na żydach, do których wyrzekł Jezus Chrystus, że wielu z nich, nawet wszyscy zostali wezwani, ale mało było wybranych, gdyż nie usłuchali wezwania.

################################

Cuda Matki Boskiej Różańcowej.

Nazywała się Klotylda i była sierotą. — I — to — najbiedniejszą sierotą, bo rodzice nie umarli jej — tylko ją porzucili i wyjechali do Ameryki.

Była więc istotą wyrzuconą — poza nawias społeczeństwa i wychowała się w domu podrzutków.

Potem poszła na służbę. . . . . Potem uczuła powołanie do zakonu i zdawało się, że przecież zajaśniał pomyślniejszy promyk w jej życiu, kiedy znalazła się za furtą klasztoru Benedyktynek, św. Marty w Mantunghi. . . . . . Szczęście jej jednak trwało krótko, bo zaledwie dwa miesiące. Uczuła nieznane bóle w nodze i musiała pójść do szpitala „Sancta Maria Nuova“ we Florencji. — Był tam słynny doktor, powaga lekarska we Włoszech — Bojardy, on zbadawszy dziewczynę, orzekł krótko, że stan jest beznadziejny, cierpienie nieuleczalne. — Lekarze na niej będą dokonywali doświadczeń naukowych, ale cierpienia jej będą się powiększać z dnia na dzień i śmierć tylko ulgę jej przyniesie.

I rzeczywiście, słowa lekarza potwierdziły wzmagające się wprost okropne boleści.

Zadecydowano amputację nogi. W dniu jednak, kiedy miano przystąpić do operacji, nastąpił paraliż stosu pacierzowego, a później Klotylda jeszcze zaniewidziała zupełnie.

Sztuka lekarska z całym postępem, była bezradną.

Sierota biedna, wśród jęków wołała do Królowej Różańca Świętego i przedstawiła rzewny widok żywej wiary, kiedy zbolałe miejsca okręcała różańcem, ufając, że już tylko Lekarka Niebiańska pomoże.

Ale oto nadeszła chwila, w której zdawało się, że na biedną sierotę przychodzi sieroctwo sierot wszelkich, bo już nawet modlić się nie mogła.

I takiemu to właśnie sierocemu opuszczeniu snać pragnęła Marya przyjść z pomocą — podając Różaniec Swój. Modlitwa Pańska, która w miłosny Swój wieniec wplotła, to jedno wielkie przypomnienie: „nie smuć się duszo ludzka, choćby cię wszyscy opuścili i najbliżsi odeszli, ty sierotą nie jesteś w Niebie!" A — to „Zdrowaś Maryo", tak bezustannie powtarzane, czyż to nie słowo pociechy Macierzyńskiej?

I oto — zdawało się, że zbliża się śmierć.... Tem lepsza śmierć, że właśnie był dzień Zwiastowania Maryi, więc przyjdzie do sieroty ta śmierć — jako zwiastunka od Tej — do Której modliła się tak gorąco, a kiedy modlić się już nie mogła, to obrazek Jej — ukochanej Królowej Różańca św. spoczywał na piersi sierocej....

I uśmiech spoczął na ustach sieroty...... ostatni uśmiech! . . . . Uśmiechem więc witała śmierć? Tak witała, ale kogoś innego — witała Tę, Która śmierci jest Panią!... I była przed Nią — jakby olbrzymia tafla światła. . . Oczy Klotyldy, które zgasły już dawno, widziały teraz wyraźnie. . . .

Królowa to była przednia, w wysokiej książęcej koronie na głowie! Włosy rozwiązane, w bujnych splotach spływały aż do kolan.

Płaszcz opadał z ramion, jakby podmuch wiatru podtrzymywał go: tak wspaniale malować umiał malarz Maryi, Rafael. Na lewej ręce wisiał Różaniec, na prawej trzymała dziecię Jezus, niewypowiedzianej piękności.

Sierota nie pytała nawet, kto Ona — ale zaczęła mówić: „Ach! Matko, jakaś Ty piękna, przyszłaś mnie uzdrowić! . . .

Lecz Marya milczała, chociaż na twarzy Jej była rozlana miłość i dobroć.

Więc Klotylda zaczęła mówić litanję: Otaczającym zdawało się, że tak bardzo szczęśliwa jej śmierć, że podczas słów litanji, dusza odrywa się od ciała. . . . I modliła się dalej: „Pomnij o Królowo Różańca św., że nie słyszano nigdy, aby ktokolwiek z czcicieli Twoich, Różańcem Twoim pomocy Twej wzywający, miał być przez Ciebie opuszczonym." I błagała jeszcze: „Matko moja — uzdrów, albo pozwól mi umrzeć! Wiesz, że nikogo nie mam i nic nie posiadam, mam groszy zaledwie kilka, więc kupię świecę i zapalę ją na Twoją cześć!"

I wtedy usłyszała te słowa: Chcę abyś była uleczoną, ale też chcę, abyś pielęgnowała chorych. „Wstań jesteś uleczoną!" Zwolna oddalać się poczęła Niebios Królowa, jeszcze jeden okrzyk podniósł się z ust sieroty: „Matko nie opuszczaj mnie, pozostań ze mną!

Odeszła jednak — a za Nią powlokło się kalectwo sieroty i zdrowa zupełnie stała się żywym dowodem słów, śpiewanych przez kościół w dniu Zwiastowania po świecie całym: „Wtenczas otworzą się oczy ślepych i ujrzą światło, uszy głuchych odzyskają słuch, naówczas wyskoczy chromy, jak jeleń . . . albowiem Pan spojrzał na niskość służebnicy swojej i poczęła Boga człowieka i stąd „błogosławioną" Ją zwać będą wszystkie narody."

Wszystko, wszystko zdobyć trzeba!

„Synu gazdów i oraczy!
Czy wiesz, co się tobie znaczy?
Czem to trzeba dom ozdobić?
Co świat daje — czem Bóg raczy?
Ha! na wszystko trza zarobić,
O co serce się pokusi —
Wszystko człowiek zdobyć musi!
Zdobyć! zdobyć! — oto sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa:
Co Bóg daje, lub co Boże,
To jest tylko ci zwierzone;
Co świat daje, lub dać może,
To wieczyście zaprzeczone...
I od chleba aż do nieba,
Wszystko! — wszystko zdobyć trzeba!

Co świat daje, mało warte
I jak stary pieniądz starte;
Skarb nie chowa się pod niebem —
Co ci obcy daje, liche!
Choćby złocił i cukrował!
Co sam niesie, mało warte,
A to tylko bywa dobre,
Dzielne duchem, sercem chrobre,
Co przed tobą dobrze schował!
Co od niego jest zdobyte,
Co mu gwałtem jest wydarte,
Duchem — pracą — krwią obmyte!
Synu gazdów i oraczy!
Twardy żywot ci się znaczy:
Zdobyć! — zdobyć! oto sprawa!
Bo nic darmo się nie dawa —
I jedynie to posiędziesz,
Co na siłę sam zdobędziesz!
Trzeba zdobyć: — pracę — zdrowie =
Siłę — męstwo — ducha — wprawę —
Miarę w oku — miarę w mowie —
I już z młodu dobrą sławę.

Trzeba zdobyć: rozum — wiedzę —
Zdobyć statek — zdobyć wolę, —
Trzeba zdobyć dom i miedzę
I zasługi, własne pole.

Trzeba zdobyć serce wierne —
Wiernych sprawie towarzyszy —
Zdobyć szczytne — zdobyć mierne —
Wiarą — pracą — w łasce — w ciszy.

Wincenty Pol.

(Z „Pieśni o domu naszym.")

Król August II i robotnik uliczny.

Król August II saski wyszedł pewnego dnia na przechadzkę w pobliżu zamku Uebigau, koło Drezna. Był ubrany po cywilnemu, tj. nie miał na sobie żadnej odznaki swej wysokiej godności. Po drodze spotkał kilku robotników, którzy naprawiali gościniec. Pomiędzy tymi robotnikami zwrócił uwagę króla jeden młody mężczyzna, który wesołą śpiewał pieśń, a pracował pilniej niż inni. Król przystąpił do niego i zapytał: „Ile zarabiasz dziennie?" Robotnik, nie poznając króla, odrzekł: „Cztery grosze". (Jeden grosz = 10 fenigów =

(Ciąg dalszy na 4-tej stronie.)

Na dnie Wisły.

POWIEŚĆ
Z PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA

3)

„Szliśmy przy wozie, a w sercu co chwila czuliśmy błskawice radości,] jakie daje spełnienie czynu niezwykłego... Oto w pobliżu mieliśmy już Wisłę, a nad nią chaty gościnne, wierzby pochylone przyjaźnie, lasy od wichrów przytulone. Jeszcze kilka wysiłków woli, a wszyscy trzej przewieziemy skarb nasz za rzekę, gdzie już pewniejsze ocalenie.“

Pan Mateusz przerwał czytanie, szybko sięgnął do kieszeni surduta, wyjął kraciastą chustkę i zdjąwszy okulary, do oczu ją przyłożył.

Po chwili spojrzał po obecnych, ci zasłuchani, nagle spostrzegli niezwykłe na twarzy starca wzruszenie, w oczach jego zdawały się łzy błyszczeć.

— Furda, do kaduka! — rzekł pan Mateusz, przysłaniając sobie znowu oczy kraciastą chustką — furda!...

Po tych wykrzyknikach na chwilę zapanowało milczenie, którego ani Jadzia, ani Janek, ani klucznica przerwać nie śmieli.

— Czytajmy dalej mości panie! — rzekł stary wiarus, uspokoiwszy się.

Zwolna założył znowu okulary i zaczął czytać ciekawy dokument:

„Skarb dotychczas wielce szczęśliwie przez nas uwożony miał przebyć ciężkie chwile. Gdy za wsią Rówkiem, już w Płockiem, wszyliśmy się w lasy, zaczęto nam zaglądać w oczy. Czuliśmy się z sił wyczerpani, osłabli bardzo, lecz do chat zaglądać nie śmieliśmy, bo czy to przez przywidzenie, czy też w rzeczy samej, zdawało nam się, że pogoń idzie za nami i tylko sposobnej upatruje, chwili aby zabrać wielką fortunę, naszej opiece powierzoną. Jakoż o ile mnie pamięć nie zawodzi, w dniu 4 stycznia, pod wieczór, jakaś zbrojna banda ludzi otoczyła nas i chciała wóz rewidować, lecz w tejże chwili przyszło mi na myśl powiedzieć im, że wieziemy trupa do wioski rodzinnej, aby go pogrzebać. A jużci na wozie leżał, jak nieżywy towarzysz Robert, któremu mróz i głód zdrowie i życie z dniem każdym zabierał. Oni popatrzyli, w słomie na wozie pogrzebali, lecz jakoś prawdy nie domyślili się i biorąc nas wciąż za wieśniaków, cało w dalszą drogę puścili.

— Na ten raz udało się — pomyślałem — lecz co będzie dalej?...

„Nie mniej od kup rozbójniczych, baliśmy się dzikiego zwierza. Wilki tej zimy nawiedziły okolice płockie i muzyki ich nocne do reszty mroziły nam krew w żyłach. Nareszcie gdyśmy dojeżdżali do Wisły, o kilka mil od Płocka, znowu otoczyła nas jakaś zbrojna banda. Tym razem, że było to pod wieczór uratował nas prosty przypadek. Oto dziada, chodzącego w pobliżu po prośbie wilki napadły. Przeraźliwe wołania o pomoc tego człowieka zwróciły ową gawiedź w tamtą stronę, a my szczęśliwie wjechaliśmy na zamarzniętą powierzchnię rzeki.

Ta noc na wieki wieków pozostanie w mej pamięci.

„Zaledwie wjechaliśmy na zamarzłą powierzchnię Wisły, uczuliśmy, że mróz sfolgował, że pod nogami nie gra śnieg, jak dnia poprzedniego. Jeden z nas został przy brzegu, bo trzeba było mieć na uwadze zbrojną bandę, która może tylko na chwilę zboczyła do dziada napadniętego przez wilki. Lecz zaledwie ujechaliśmy kilka staj, rozległy się okrzyki od brzegu:

— Postój! postój!

„Popędziłem upadające już i tak ze zmęczenia koniska i chciałem co prędzej przez rzekę przebyć. Gdzież tam!... po samym środku lód nieco skruszał i widać było, jak go prąd wody stopił i przeżarł. Co począć! Ani naprzód, ani w tył ruszyć się nie można. Matko Przenajświętsza ratuj!...

„I znowu nieprzewidziany wypadek wyrwał nas z rąk zbójców: na brzegu rozległy się wystrzały, nawoływania, krzyki, najwidoczniej na zbrojną bandę napadła druga i wszczęła się bójka, my zaś wyjechaliśmy na drogę i pojechaliśmy bokiem w górę Wisły. Bez wytchnienia jechaliśmy kilka godzin wśród nocy, trzymając się wciąż brzegów rzeki. Noc ta wydawała się nam bez końca. Zimno dotkliwe czuliśmy w kościach, w skroniach, w gardle... Savois, dzielny Robert, który cudów waleczności dokazywał pod Magentą, Arcoli, Kairem, którego pierś od lat kilku zdobiła wstążeczka legji honorowej, a o którym cesarz raz wyrzekł, że ma piorun w swej szabli, ten dzielny towarzysz konał na nędznym wozie tuż obok skarbu niezwyciężonej armji! Lecz niezbadane są wyroki Opatrzności...

— Robercie — rzekłem — zostawimy cię w którejkolwiek chacie, a sami podążymy dalej za cesarzem...

— Nigdy! — odrzekł słabym głosem — z wami lżej mi będzie... nawet śmierć łatwiej przeniosę!...

— Ha!... trudno, niech się dzieje wola Boża!... — odrzekłem i znowu wśród śniegu jechaliśmy dalej W godzinę później Robert zaczął bredzić, czem nam boleśnie serca ranił... Niech żyje cesarz!“— krzyczał rzucając się w gorączce... Sułkowski pierwszy... ja z nim... ja za nim zwyciężyliśmy pustynię i dzicz gorszą od niej.

„Biedak, wspominał Sułkowskiego, dzielnego towarzysza broni, o którym Napoleon zwykł mawiać po wyprawie do Egiptu, gdzie ten dzielny oficer zginął, że stracił w nim prawą rękę.

„W wielkiem przygnębieniu jechaliśmy tak noc całą, słuchając gorączkowych opowiadań i wykrzykników Roberta... Nareszcie świt zabłysł i ujrzeliśmy jakąś wieś, której nazwy nie pomnę, gdzie udając wciąż wieśniaków, zmieniliśmy konie, kupując inne. Wkrótce ruszyliśmy w dalszą drogę.“

W tem miejscu rękopis tak był przez wilgoć strawiony, że pomimo wysiłków, pan Mateusz nie mógł czytać dalej.

— Wilgoć wyżarła tutaj kawał papieru.

— Szkoda, bo niezmiernie ciekawa jestem, co się też stało z dzielnymi wojakami i ze skarbem — mówiła Jadwinia.

Pan Mateusz okulary przecierał, pożółkły papier ku światłu lampy podnosił, lecz daremnie. Cały wyjątek był nieczytelny.

Również druga strona była bardzo przez wilgoć uszkodzona, dopiero u dołu i na stronie trzeciej można było czytać, co następuje:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

12,3 groszy polskich.) Wtedy rzekł król: „To nie wiele. Możecie z tego wyżyć?“ Robotnik odpowiedział: „Nietylko żyć z tego muszę, ale jeszcze i długi płacić i kapitał na procenta odkładać. A pan to potrafi?“ Król odrzekł: „Kochany przyjacielu, opowiadasz mi tu zagadkę, której nie jestem w stanie rozwiązać.“ Wtenczas odpowiedział robotnik: „Teraz jest właśnie przerwa na odpoczynek. Chodź pan ze mną do mojego mieszkania, a tam panu zagadkę naocznie rozwiążę.“ Król poszedł z nim. Wkrótce przybyli do nędznego domku, gdzie na ławeczce siedziało jakieś stare małżeństwo. Wskazując na nie, rzekł robotnik: „To są moi rodzice, którzy nie mogą sobie sami już nic zarobić, dlatego ja ich utrzymuję. Im płacę procenta od tego kapitału, który oni na mnie w mojej młodości wydali.“ Potem zaprowadził króla do izby, gdzie sześcioro zdrowych dzieci — w wieku od 4—10 lat bądź pracowało, bądź bawiło się. Robotnik rzekł znowu: „Widzi pan, te sześcioro dzieci muszę także z mojego zarobku wyżywić. To jest ten kapitał, który składam i który mi w mojej starości znów przynosić musi procenta.“ Król wzruszony, pożegnał się uprzejmie. Na drugi dzień o południowej porze zjawił się przed domkiem robotnika królewski powóz z poleceniem, żeby robotnik natychmiast udał się do zamku króla, do Drezna. Człowiek ów przeczuł zaraz, co się święci i zawołał: „To pewnie był sam król wczoraj u nas!“ Ubrał się więc odświętnie i pojechał do Drezna. Tu kazał mu król wypłacić 100 talarów za tak piękne rozwiązanie zagadki. Gdy ów człowiek przyniósł pieniądze do domu i wszystko opowiedział, upadła cała familja na kolana i dziękowała Bogu i modliła się za tak dobrego króla.

Bogactwa psują ludzi.

Pewien dobrze się mający ojciec zapisał przy śmierci swemu synowi porządny majątek, a ponieważ był pracowity i oszczędny, sądził, że ojcowizny nie zmarnuje. Starzec miał rację, bo syn był i zaradny, ale cóż z tego, kiedy powoli zaczął się bogacić i zaniedbywać duszę swoją. Stawał się coraz bardziej zarozumiały. Nie lubił się modlić, ani do kościoła uczęszczać. Sąsiedzi go chwalili, że umie sobie radzić, a on wbijał się w pychę i sobie przypisywał wszystko, a nie Bogu i od Boga stronił. Bóg zesłał na niego ciężką chorobę, począł marnieć dobytek, ziemia płodów nie przynosiła, a on umarł, żałując za swą zarozumiałość.

Moc krzyża.

Pewien katolicki ksiądz (prałat Hetinger) szedł raz przez pole i spotkał się z dzieckiem, idącem tą samą drogą ze szkoły. Po drodze zadawał ksiądz temu chłopcu różne pytania, aby się dowiedzieć, jakie ma wiadomości o religji. Pomiędzy innemi zapytał go także:

— Czy bogaci dostaną się do nieba?

Dziecko odpowiedziało:

— O tak, jeżeli będą ubogim dobrze czynić.

Ksiądz zapytał dalej:

— A czy ubodzy dostaną się do nieba?

Odpowiedź brzmiała:

— Tak, jeżeli będą cierpliwie znosili swój krzyż.

Ksiądz ten opowiadał często tę rozmowę z dzieckiem i dodawał:

— W tych słowach dziecka jest wiele prawdy. Bez krzyża, tj., bez cierpień i znoszenia niedostatków nie ma prawdziwego szczęścia na ziemi, ani zbawienia po śmierci.

ROZMAITOŚCI.

Psy i aligatory.

Nowy dowód wysokiej inteligencji psów przytacza pewien Anglik, który szereg lat spędził na wyspie Borneo.

Aligatory, żyjące we wielkiej ilości na Borneo zaliczają do swych przysmaków także mięso psów. Czyhają na każdą sposobność, by złowić psa, gdy nieopatrznie się zbliży do ich kryjówki. Psy jednakże tamtejsze znają już niebezpieczeństwo, czyhające na nich w rzekach i działają z największą rozwagą, gdy im grozi spotkanie z olbrzymią jaszczurką. Nigdy nie przepływają rzek pojedyńczo zawsze gromadnie. W tym celu zbierają się nad brzegiem rzeki i to przy najpłytszem miejscu i zaczynają przeciągle wyć. Krokodyle, zwabione wyciem, zbierają się w pobliżu psów, gotując się na chwilę przeprawy. Psy z chwilą, gdy sądzą, że wszystkie aligatory ściągnęły w jedno miejsce pędzą nagle, co sił starczy, około 2000 metrów w górę rzeki — nie w dół — i tam w spokoju, nie zaczepiane przez swych wrogów, przybijają do drugiego brzegu.

Ocalenie dwóch lotników.

W angielskiej miejscowości nadmorskiej Deal setki bawiących tam letników z Londynu, miały wstrząsające widowisko aeropl. spadającego do morza i uratowania jego pasażerów przez łódź motorową. Z początku myślano, że to jest jeden z pospolitych już dzisiaj w Anglji pasażerskich aeroplanów, jednakże w istocie był to aeroplan wojskowy, przeznaczony do rzucania bomb, a noszący nazwę „D. H. G.“, którym wznieśli się dwaj lotnicy: sierżant Ward i mechanik Carruthers. Osiągnęli oni już wysokość 14.000 stóp, tj. przeszło 4.000 metrów i chcieli wznieść się jeszcze wyżej, gdy nagle motor się zepsuł. Lotnicy więc telegrafem bez drutu dali znać do najbliższej stacji aeroplanowej i poczęli lądowanie, spuszczając się na dół lotem szybowym. Nagle jednakże aeroplan pochylił się naprzód i gwałtownie spadł dzióbem w morze. Obaj lotnicy zostali wyrzuceni, a olbrzymie bryzgi wody od uderzenia aeroplanu o powierzchnię morza, zalały ich. Na szczęście obaj umieli pływać i poczęli zdążać ku resztkom aeroplanu, które zwolna tonęły. Sierżant Ward jednak odniósł wrażenie, że ma prawą nogę złamaną, a mechanik Carruthers z oddali dał mu znak, że ma jedną rękę skaleczoną. Pomimo to, obaj dopłynęli do szczątków i trzymali się ich tak długo, dopóki jeszcze koniec ogona aeroplanu był widoczny nad powierzchnią wody. W tej chwili nadpłynęła pomoc. Była to prywatna łódź motorowa „Golden Spray — Złota gałązka“, w której odbywali właśnie przejażdżkę jej właściciele, Fryderyk Roberts i Thomas Jorman. W chwili spadania aeroplanu pierwszy z nich zawołał do towarzysza: „Patrz tam, co to takiego?“ I ujrzeli w odległości półtorej mili angielskiej, tj. około półtrzecia kilometra uderzenie aeroplanu o morze. Pomimo wzburzonej fali, która ich ustawicznie zalewała, puścili się całą siłą motoru w to miejsce i wydobyli z morza tonących lotników z wielkim trudem, z powodu częściowego ubezwładnienia ich przez odniesione rany.